

Ochrona przyrody a społeczność lokalna - szkolenie niekoniecznie obowiązkowe cz.2

Czasami miewam dzikie myśli

Ochrona przyrody a społeczność lokalna - szkolenie niekoniecznie obowiązkowe cz.2

W poprzednim odcinku: czy jest gdzieś jeszcze prawdziwa społeczność lokalna?

Patrząc z punktu widzenia biurka z komputerem podłączonym do globalnej sieci albo sprzed ekranu telewizora czy znad porannej prasy może się wydawać, że McŚwiat pochłoniął cały glob ziemski, a niegdyś wolne narody gną karki pod butami imperialistycznych najeźdźców. Oczywiście powyższej frazeologii nie należy w moim tekście traktować zbyt serio. W naszej części świata mamy bowiem skłonność do popadania w taki czy inny rodzaj uproszczeń, być może dlatego, że ogromny wpływ (a nawet decydujący) na nasze postrzeganie świata mają - bądź co bądź podlegające sztucznej kreacji - media. Łatwo jest ulec złudzeniu, że ze światem jest albo bardzo źle, albo wręcz przeciwnie - świetnie. Rzadko zdajemy sobie sprawę, że istnieją zakątki świata, gdzie życie toczy się własnym rytmem, ludzie przemierzają na piechotę lub konno spore przestrzenie, w tym samym świecie, w którym w ciągu jednej godziny startują z lotnisk tysiące samolotów. Czy w tym samym świecie? Może ilość światów jest nieskończenie większa, niż pokazuje to telewizor? Być może globalizacja przyspiesza tylko rozpad złudzenia "jednego" świata? - chociaż zapewne celem tego procesu (czy raczej tych procesów) miał być skutek wręcz odwrotny. Jak pisze często przywoływana przeze mnie Vandana Shiva¹, globalizacja nie jest niczym nowym jako zjawisko, jej pierwsza fala wiąże się z epoką podbojów kolonialnych. My w Europie moglibyśmy dodać, że wcześniej taką próbą było Cesarstwo Rzymskie, a nieco później - Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego (którego niegdysiejsze granice z grubsza pokrywają się z dzisiejszymi granicami Unii Europejskiej).

Całkowity pesymizm i fatalistyczne podejście do rzeczywistości jest chyba wyrazem nieufności do przebogatych procesów życia, które nigdy nie podążają zaprojektowanymi przez nas szlakami. Jeżeli porzucić na chwilę perspektywę biurka z komputerem, to okaże się, że prawdziwe społeczności lokalne wciąż jeszcze istnieją, a my niewiele wiemy o ich życiu i problemach. Często nosimy w głowie gotowe rozwiązania i zbiór dogmatycznych zasad oraz lenistwo własnych przyzwyczajęń.

Wioska Ghandruk w rejonie Annapurny. Zaskakuje nas swoją rozległością, solidnością i schludnością kamiennych domostw, roześmianymi twarzami mieszkańców, swobodą wiejskich kobiet, których donośne okrzyki i śmiech dotyczą prawdopodobnie nas, szukających Gurung Museum zwiastowanego na szlaku przez niepozorny drewniany szyld. Wreszcie znajdujemy Gurung Museum, które okazuje się być jedną chatą, umeblowaną zwykłymi tutaj sprzętami i tradycyjną odzieżą ludu Gurung. Patrząc na przyjaznego starszego człowieka, wygrzewającego się w plamie późnojesiennego tu słońca, w spódnicy do kostek zawiązanej tak, jak czyniły to spotykane po drodze kobiety, ciągle się zastanawiam: na czym polega ta różnica między nami, że jego twarz w słońcu z przymkniętymi oczami jest tak spokojna: kiedy dzieciaki zanadto rozrabiają, otwiera jedno oko i mówi do nich spokojnym łagodnym głosem. Jedno z dzieci - może trzylatek - przewraca się, patrzy lekko zdziwione na zdarte kolana i dopiero po chwili płacze. Siedzący obok nas dziadek (?) nie od razu wstaje, upływa dość długa chwila, dzieciak sam się podnosi i dopiero wtedy dziadek również wstaje, podchodzi do

niego, podnosi na ręce i śmiejąc się coś opowiada do ucha małego urwisa. Żadnego zdenerwowania, żadnego pokrzykiwania "a nie mówiłem, gówniarzu", żadnej agresji wobec dziecka, młodych kobiet, które zostawiły dzieci pod opieką, wobec nas, przechodzących ulicą sąsiadów, wobec bliższego i dalszego świata. Kiedy posiedzę jeszcze chwilę na słońcu, zjem tradycyjną Gurung Soup, wypiję tradycyjnie warzone piwo chang, pośmiejemy się z dziadkiem ze słońca, szczytu Machapuchhare wylaniającego się zza chmur - choć nie znamy ani słowa w jakimkolwiek wspólnym języku, jest nam dobrze jak nigdzie. I trochę już rozumiem tę różnicę, patrząc na zapasy kukurydzy i prosa suszące się na podwórku, na fasolę wystawioną do słońca w koszach - widomy znak tego, że tutaj żyje się z pracy swoich rąk, a ziemia nie jest wrogiem, jest partnerem i pomocnikiem.

Wieś Ghandruk - jedna z większych w rejonie Annapurny - jest znakomicie zorganizowana, ma pocztę, telefon, ma prąd z małej elektrowni wodnej, ma szkołę (właściwie dwie szkoły), więcej herbaciarni i knajp z dobrym jedzeniem niż w 80-tysięcznym polskim mieście, ma biuro terenowe Annapurna Conservation Area Project i punkt opieki zdrowotnej. Nie ma tylko jednej rzeczy - nie prowadzi tam żadna droga kołowa, nie można dojechać żadnym samochodem. Żeby zejść do doliny potoku, trzeba poświęcić dobre dwie godziny na uporczywe schodzenie niemal pionowo w dół po stopniach ułożonych z kamieni bądź wykutych w stromym zboczu. Tą drogą przyjeżdżają tutaj wszystkie towary z półek miejscowego sklepu.

W dyskusji, jaka od dawna toczy się w tym rejonie - o poprowadzenie drogi jezdnej do chińskiej granicy, wzdłuż jednego z najpiękniejszych przełomów na świecie, wzdłuż rzeki Kali Gandaki - mieszkańcy Ghandruk wypowiedzieli się przeciw inwestycji. Nie chcą drogi.

To nic, że Coca-Cola (z etykietą w języku hindi) stoi na półce sklepu w Ghandruk. W ciągu 4 tysięcy lat na tym kupieckim szlaku niejedna Coca-Cola spłynęła z wartkim potokiem czasu.

Anna Nacher

Zapraszamy na kolejny odcinek niebawem.

1. w artykule "WTO, Women and the Environment: An Ecological and Gender Analysis of 'Free Trade' ("Women in Development - Trade Aspects on Women in the Development Process" pod red. Evy Haxton i Laessa Olssona, 1995).